

ELŻBIETA GRALEWSKA

ur. 1955; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, ulica Drobna, dzieciństwo, życie codzienne, cegielnia Czechówka Górna, praca na cegielni, projekt Lubelskie cegielnie. Materia miasta

Ulica Drobna w Lublinie

Jak jest Krakowskie Przedmieście, najpierw jest ulica Wieniawska, potem Lubomelska i schodzi się na sam dół. Na dole Lubomelskiej, przy rzeczce, były dwa baseny po prawej, jeden dla dorosłych, drugi dla dzieci. Zaraz dalej była ulica Północna, tam był przystanek autobusu „13”. Tam właśnie zaczynała się ulica Drobna. Jeszcze dzisiaj istnieje fragment brukowany ulicy, takie kocie łby idą pod górę. Potem to zakręcało i szło pod górę, i dalej już była płaska ulica, ale trzeba było się na to wzgórze wspiąć. Drugi sposób: były schody z poręczą, ale niewygodne, i można było przejść przez podwórko domu milicyjnego – bo potem podobno rodziny milicjantów tam mieszkały. Ale tam nikogo nie znałam, to nie lubiałam tamtędy chodzić. Chodziłam drogą brukowaną, z tymże trzeba było uważać, najlepiej głośno stukać butami albo rozmawiać. Do połowy to tylko były krzaki i kominy domów, co są przy Północnej, ale za zakrętem na górę, to były już domki z płotami mieszkańców. Oni mieli taką sytuację jak my, czyli woda była z pompy, a nieczystości, to wszystko z prania, ze zmywania, to niestety wylewali na ulicę. Często było, że idę sobie, a tu takie bul, bul, bul, znaczy się, ktoś robił pranie i ta woda tak sobie spływała. Na szczęście była już taka kultura, że toalety jakieś mieli. Ale jak ktoś sobie cichutko szedł, ktoś tam inny nie zauważył, to można było dostać. Mama mi mówiła: głośno rozmawiać i tupać butami, wiadomo, że ktoś idzie i ci z góry wyglądali - nie ma nikogo, to wtedy wylewali, a jakby coś to tam: dzień doobry, niby nic, a jak myśmy przeszli, to dopiero: hop!, i to spływało po tych kocich łbach.

Jak się wchodziło na górę, po lewej stronie mieszkali państwo Wójcikowie i albo u nich, albo za nimi mieszkał krawiec. Jak byłam w szóstej klasie chyba, to wiem, że u tego krawca byłam i to było takie przeżycie dla mnie. Bo mój ojciec miał stary płaszcz, już zużyty i to się mówiło: przenicować, czyli odpruć podszewkę, wziąć materiał na drugą stronę i jeszcze się do czegoś nadawał. Z tego płaszcza ojca

dostał mnie się taki płaszczyk na miarę szyty, takie poduchy pamiętam, trzy czarne guziki. Byłam dumna, że miałam taki płaszczyk przenicowany ze starego płaszczka mojego ojca. Ci Wójcikowie mieli gdzieś pole i czasem furmanka z sianem koło nas przejeżdżała. Potem zaraz był zakręt i na zakręcie była kapliczka. Ta kapliczka jest na Czechowie, ja ją gdzieś widziałam, ale nie pamiętam gdzie. Za kapliczką była pani Mamejowa i ona kilka córek miała. Potem jak już dorosła byłam, kiedyś szłam ulicą między Świętoduską a Lubartowską i tam były pączki u Mamej.

Dalej był drugi zakręt i aż do cegielni nic. Po lewej i po prawej stronie były domy, potem się kończyły, przerwa, i budynki się znowu zaczynały po lewej, a po prawej cegielnia. Tam były takie baraki, wiaty – dach papą kryty, na słupkach i pod spodem albo pusto, albo te cegielki leżały jedna na drugiej, tak jakoś na ukos, żeby się suszyły. Dużo było tych baraków. Był komin taki duży, ale to już głębiej. Czasem patrzyłam, jak przechodziłam, i się dziwiłam, bo kobiety tam pracowały. Mężczyźni też, ale mężczyźni to w taczkach dźwigali, jeździli z tą gliną, gdzieś ona była tam jakoś uzdatniania. Widziałam na wielkich stołach pomiędzy barakami były takie formy na dwie cegły i te kobiety nabierały dużo tego ciasta i buch!, trzeba było z całej siły, z rozpędem, żeby to się ubiło chyba dokładnie. Wrzucały w to jedno i w to drugie, potem je czymś, jakimś nożem czy patykiem, wyrównywały i potem hop!, wyrzucały tak jak babki z piasku. I następne, i tak cały dzień. Potem cegły były suszone pod tymi dachami i jak wyschły, to pewnie szły do wypalania. Dalej to już nie wiem, bo to mnie nie interesowało, widziałam, bo musiałam widzieć, ale szłam jeszcze dalej.

Naprzeciw cegielni, na lewo Drobnej była taka uliczka i przy niej były domy na dwie strony. Tam była taka dziewczyna, Rosa po mężu, potem się z nią trochę kolegowałam, a w głębi mieszkała pani Tarachowa. To jest postać legenda. Jej siostra wyszła za męża i miała dwoje dzieci, ona zmarła i pani Tarachowa wyszła za męża właśnie za męża siostry. Miała te dwie córki po zmarłej siostrze, potem jeszcze swoje dzieci z tym panem, potem jeszcze adoptowała. Kiedyś byłam u niej i mi zaproponowała zupę mleczną, niechętnie, ale zjadłam. Później się dowiedziałam, że pani Tarachowa codziennie gotowała taki gar zupy i wszyscy wiedzieli, że u niej w domu jest kuchnia otwarta, kto był głodny i w potrzebie to do pani Tarachowej na talerz takiej zupy. Nie wiem, czy zawsze, ale wtedy była ta mleczna z kluskami, gar taki wielki, ona się tam krzątała. To taka herod-baba, można by powiedzieć, po prostu trzymała to wszystko twardą ręką. Ja ją podziwiałam, bo i moja mama pozytywnie o niej opowiadała, ale kiedyś to się trochę wkurzyłam, już chyba byłam jakoś w liceum czy na studiach. Dowiedziałam się, że pani Tarachowa syna, który miał zdawać maturę w tym roku, wysłała do innego syna, który z rodziną gdzieś tam mieszkał, a ten pokoił oddała dziewczynie, która urodziła dziecko panieńskie. Nie było wtedy domów samotnej matki. Ja sobie tak myślę: najpierw swoje dzieci. Ale tu było ratowanie życia, nawet dwóch, bo ta dziewczyna z dzieckiem jakiś czas mieszkała.

Taka to była osoba, ta pani Tarachowa. Była znana z uczciwości. Wszystkie swoje dzieci ganiała codziennie do kościoła na Czwartek, bo to była nasza parafia. A to kawał drogi, z Drobnej na Czwartek, to cała Północna i potem cała Biernackiego, i tam na górkę. Przed wszystkimi świętami cała ich rodzina chodziła do kościoła, myli podłogi, okna i na wszystkie nabożeństwa. Była taka zaangażowana w to życie rodzin, takie też religijne i parafialne, po prostu, maszyna niezniszczalna.

Koło niej mieszkała pani Budzyńska, która była położną i mnie przyjęła na świat. Bo wtedy to było w domu, chociaż moja koleżanka, która dalej mieszkała, dwa dni ode mnie starsza, urodziła się w szpitalu. Ja wiedziałam zawsze, że się w domu urodziłam, myślałam, że to wszyscy tak, ona mówi: w szpitalu, a ja mówię: „Ale coś ci było?” Mój ojciec, tak mama opowiadała, poleciał tam po nią i ona przyszła. Pani Budzyńska była właśnie i położną, i pielęgniarką, potem miałam kilka lat, to wiem, że zastrzyki mi robiła, widocznie chora byłam. Pamiętam, że przyszła, ja się jej tak bałam i musiałam mieć zastrzyk w domu. To była druga taka znana bardzo postać, bo ona wszystkie dzieci miejscowe przyjmowała.

Zaraz za tą panią mieszkała pani Różycka. To był taki dom murowany, styl dworkowy, ale zapuszczony, przed domem miała drzewo z różyczkami. Taka starsza pani i trochę się jej bałam, bo zawsze taka potargana i miała syna, chyba autystyczny by się dzisiaj powiedziało. Bardzo miła była dla nas, sama to tam jej dzień dobry tylko mówiłam, ale jak wracałam z mamą i ona nas widziała, to miała taki sekator i urywała nam gałązki kwiatów i mówiła: „To dla pań”, i wracaliśmy z naręczem różyczek.

Potem jeszcze była rodzina, ale już nie pamiętam, jak się nazywali. Dalej Woźniakowie mieszkali, ale myśmy z nimi byli tylko na dzień dobry i potem taka pani, nie pamiętam, jak się nazywała, a powinnam, bo to blisko. Następnie była znowu taka mała uliczka i pani Gładyszowa mieszkała. Miała syna Leszka, który się kumplował z moimi braćmi, razem w piłkę grali i ten Leszek się ożenił z Wandą, która pochodziła z ulicy Ogrodowej, i mieli syna Krzysia. Krzyś był trzy lata młodszy ode mnie i mieliśmy wspólny płot. Bo już potem byli państwo Łapanowie. Ja nie miałam tam żadnych koleżanek. Potem dalej mieszkała ta koleżanka dwa dni starsza ode mnie, i u Łapanów ta najmłodsza Alicja, Dzidka się na nią mówiło. I ja z tym Krzysiem się kumplowałam, ale to taka historia była, że ja przez okno uciekałam z domu, potem przez płot do Krzysia i tam się bawiliśmy u niego w piaskownicy. Później się dowiedziałam, że to się nie wypada, że dziewczynka nie może przez okno, jeszcze do chłopaka. A ja: „Jakiego chłopaka, to Krzyś przecież, trzy lata młodszy”. Krzyś był fajny, bo miał psa Bobika i z tym psem chodziliśmy na polowania, przez teren cegielni i na te pola. Potem się okazało, że nie wolno mi tego Krzysia tam wyprowadzać. A myśmy sobie łuk zrobili i ten Bobik z nami – wyobraźnia działała. Tam były kuropatwy i zające, nic nam się nie udało upolować tym naszym łukiem, ale frajda była. Długo

się przyjaźniliśmy, on miał chyba 12 lat, jak się wyprowadził. To było straszne, bo jednak kawał dzieciństwa i fajne to było.

Za nami jeszcze daleko ktoś mieszkał, ale nie pamiętam, jak się nazywał, potem taka rodzina, alejka i dalej z brzegu mieszkali państwo Kowalowie, mieli dwóch synów, Zygmunta i Janka. Za nimi w głębi Machaj, to właśnie moja koleżanka, z którą się tak przyjaźniłam. To były siostry rodzone, Boguszewskie z domu, pierwsza Kowal, druga Machaj. Potem znowu nic nie było i następnie stał drugi piętrowy dom na naszej ulicy. Pierwszy to państwa Łapanów, gdzie my mieszkaliśmy, i drugi – Lalka się nazywał właściciel, on miał syna, Jędrka. To też kolega moich braci, dlatego pamiętam. Potem znowu była uliczka i tam mieszkali Siwkowie. To była fajna, bardzo zacna rodzina. Tam był Jurek Siwek i on był chrzestnym córki mojego brata któregoś. On był najstarszy, potem były jeszcze dwie dziewczyny i Marysia, pielęgniarka. To były dwie pielęgniarki, jedna ta położna i druga ta pani Marysia. Ona też niestety z zastrzykami przychodziła, ale bardzo miła i zacna osoba. Tam dalej mieszkała pani Radomska, a naprzeciw Siwków mieszkał pan Wójcik, który miał kozy. Myśmy straszyli te kozy, więc on był taki groźny i myśmy się go bali. Jak przechodził, to ja potem się odważyłam „dzień dobry” mówić. Ale chyba kijem tak machał, pewnie te kozy chciał chronić, jak one się pasły, żeby miały spokój.

Za nim już się w dół schodziło, do wąwozu i tam był raj w zimie, bo się na sankach zjeżdżało i na nartach. To było piękne, bo tak z jednej strony łagodnie, a z drugiej to tak z pieca na łeb, tylko dla odważnych, to ja musiałam mieć już dużo lat, żeby się odważyć zjeżdżać. Z tej strony gdzie było stromo, to chłopaki robili sobie skocznię narciarską. Mój ojciec uważał, że wszystko można, i wziął mnie kiedyś na sanki z tej strony. Ja nie chciałam, ale on chciał koniecznie, i jechaliśmy po tej skoczni. Potem tylko pamiętam, że mnie ktoś wyciągał ze śniegu, bo ja poleciałam w jedną stronę, sanki w drugą. I mama powiedziała: „Koniec tych imprez”, i ojciec chyba miał zakaz. Jak jeszcze była gołoledź, tam samochody nie jeździły, a my zbiegaliśmy z jednej góry i z drugiej, to było coś pięknego, szum w uszach. To było zajęcie takie na zimę, a w lecie to były fajne te tereny cegielniane.

Tam była właśnie taka społeczność. Moja mama tam przyszła w pewnym momencie i potem nawet się chyba nie miała gdzie wyprowadzić. Chyba był taki przepis, że był jakiś metraż na osobę i nie można było mieć nadmetrażu, więc ci państwo nie mogli się jakby nas pozbyć jako lokatorów, tak prawnie. Tak mi się wydaje, bo my tam mieszkaliśmy i mieszkaliśmy, i mieszkaliśmy, nigdy się stamtąd nie wyprowadziliśmy. Moi rodzice mieli książeczkę mieszkaniową na LSM-ie zarejestrowaną, ale mama nie była taka przedsiębiorcza, była już życiem zmęczona, bo swoje przeżyła i ojciec też. Nie byli tacy, że załatwią coś, tylko tak złożyli i czekali. Trzydzieści lat czekali i jak się zaczęło to osiedle na Czechowie budować, to wtedy zaczęło wysyłać jakieś pisma do mieszkańców, co z nimi zrobić. Ja już wyszłam za mąż wtedy i mąż się do mnie

sprowadził. Mieli nas razem wykwaterować, ale że rodzice moi mieli swoją książeczkę mieszkaniową, to oni mówią, z tego LSM-u przepisujemy was na Czechów i dostaniecie. I tak było, dostali swoje dwa pokoje z kuchnią. A my jeszcze tam mieszkaliśmy, jedyni, szliśmy przez pustą ulicę, już wszyscy byli wysiedleni. Za nami dalej domy były wyburzone i my tak ostatni. Dostaliśmy M4 na Czechowie, bo mąż pracował wtedy już chyba na uczelni jako asystent i miał to M takie dodatkowe dla nauczycieli. Więc raz, że M3 nam się należało jako rodzina tak zwana rozwojowa, czyli M3, i on miał jeszcze to swoje, czyli razem dostaliśmy M4.

Data i miejsce nagrania	2018-07-04, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"